

Regina Smoter Grzeszkiewicz

Jan
(opowieść rodzinna)

*nie pamiętam dziadka -
w matczynej opowieści
ma zawsze duże wąsy
drobną postać
dobrotliwą twarz*

*oczyma wyobraźni
przywołuję tamte chwile
gdy stali z babcią
w kręgu naftowej lampy
pochyleni
nad gromadką śpiących dzieci*

*dziadek miał konika
razem zarabiali na chleb
babcia przędła długą życia nić
obracając wrzeciono
w wychudłych palcach*

*gdy zabrakło dziadka
(odtąd żyje we wspomnieniach)
stary konik poszedł za nim
poszukać
dobrego pastwiska*

*Babci mojej, Mariannie z Mikszów Smotrowej
poświęcam.*

Wprowadzenie

Spisywanie rodzinnych opowieści nie jest moją specjalnością, ale warto spróbować choćby na pamięć dziadków, pradziadków, wujków i ciotek. Z wujków żyje najstarszy Jan (w 2016 roku stuknął mu 94 roczek), z ciotek żadnej już niema: Stanisława zmarła w 2007 roku, Leokadia (najstarsza) w 2012, Karolina w 2014. Moja mama, najmłodsza ze wszystkich, nosząca na pamięć swojej mamy, a mojej babci imię Marianna skończyła 87 lat.

Niewiele informacji zachowało się w rodzinnych ustnych przekazach o dziadku Janie, te które pamiętam z opowieści - zapisałam, inne to mój czysty wymysł, ale jakoś wkomponowały się treść niniejszego opowiadania i nadają mu specyficzny dla mojej rodziny charakter.

Warto sobie w tym miejscu postawić pytanie: czy tego rodzaju zapiski mają sens? Nie ma w nich wielkiej, historycznej prawdy, bo moja rodzina, tak jak wiele jej podobnych żyła swoim życiem, pokonując codzienne trudności, przeżywając radości i smutki, wierząc w Boga - babcia Marianna była bardzo Bogu oddana. To ona nauczyła mnie Modlitwy Pańskiej. Razem z nią dreptałam od najmłodszych lat przez czarnostockie łąki do kościółka w Trzęsinach. Latem chodziłyśmy na bosaka. Buty wkładało się przed wejściem do kościoła. Jeszcze dziś stoją przy ścieżce którą chodziłyśmy dwie sosny pomiędzy którymi babcia zostawiała swoją palicę (laskę) by nie stukać o podłogę w kościele, zabierała ją z powrotem jako niezbędną podpórkę w drodze do domu, a do domu było około albo ponad trzy kilometry. Nie ma budzących grozę opowieści. Jest życie, takie normalne, pracowite. Czy była miłość? pewnie tak, skoro dziadkowie dochowali się aż siedmiorga dzieci. A może nie z miłości te dzieci się rodziły tylko ze zwykłej potrzeby zapewnienia ciągłości rodziny, opieki na starość. Nie wiem, i zapewne już nigdy się nie dowiem.

Dziadek Jan, bo on ma być głównym bohaterem mojej opowieści już od najmłodszych lat uczył się przy swoim ojcu a moim pradziadku Kazimierzowi uprawiać pole, obrządzać gospodarstwo, siać i orać, kosić zarówno łąkę jak i zboże, a wszystko to była ręczna robota kosą. Kiedy dorósł zapragnął założyć rodzinę i tak pojawiła się w naszym domu moja babcia Marianna. Przybyła z odległej wioski, położonej w powiecie biłgorajskim, która nazywa się Sokołówka.

Dziadek miał starszego brata Marcina, ale ten, jak wieść rodzinna głosi zginął podczas I wojny światowej. Chciałam po latach odnaleźć jego grób - nie udało się. Proboszcz parafii Nielisz (Marcin prawdopodobnie zginął na terenie tej parafii w miejscowości Ruskie Piaski), nie chciał mi udostępnić posiadanych dokumentów bez zgody wyższych władz kościelnych - tej nie otrzymałam.

A gdy przyszła II wojna jeszcze bardziej okrutna i krwawa od I - szej Jan znalazł się w obozie przejściowym w Zwierzyńcu, później na Majdanku. Wrócił, ale żył krótko. Zmarł w 1947 roku. Nie zachowało się jego zdjęcie. Nie wiem jak wglądał - mama opowiada że był niskiego wzrostu, czesał się z grzywką, nosił wąsy. Miał ukochanego konia kasztanka, którego odnalazł po wojnie wujek Feliks na jarmarku w Biłgoraju, prowadził interesy z miejscowymi Żydami, słowem taki chłopek - roztropek, który w kaszę nie da sobie napluć, a o byt rodziny zadbać potrafi...

Rozdział pierwszy, w którym poznajemy rodziców Jana

Jan urodził się w rodzinie Katarzyny z Furlepów i Kazimierza Smoter. Młodszy z rodzeństwa (starszy brat Marcin zginął podczas I wojny światowej), pozostał na ojcowiznie. Razem z rodzicami i młodszą z ciotek (siostrą ojca) Katarzyną (starsza Marianna, wdowa po Franciszku Nowaku pozostała w zabudowaniach po mężu prowadząc niewielkie gospodarstwo jakie jej pozostawił) mieszkał w drewnianym domu postawionym jeszcze ręką dziadka Michała. Dom nie był mały ani zbyt duży, ot w sam raz dla czwórki ludzi o odmiennych, a czasem wspólnych poglądach na wiele spraw. Dlaczego tak rzecz ujmuję?

Kazimierz nie przejawiał w swoim życiu nadmiernej gorliwości religijnej. Jest Bóg, szanuję go - mawiał sam do siebie. Modlił się, ale chodzenie do kościoła, do częstej spowiedzi zostawiał żonie i innym. Owszem na tacę dawał, hojną ręką - ku chwale Najwyższego, ale z umiarem, bez przesady.

Katarzyna, kobieta urodziwa, pochodząca z sąsiedztwa gospodarną była i zaradną. Ona z kolei w każdą niedzielę wędrowała do kościoła położonego w gminnej wsi Radeznicy (bo w Trzęsinach w tamtych czasach kościoła jeszcze nie było - stała cerkiew prawosławna, a prawie całą, niewielką wieś zamieszkiwali prawosławni) albo do... Szczebrzeszyna, ale by dojść do miasta trzeba było przejść przez las, odpadały więc samotne wędrówki. Najlepiej było gdy zebrało się kilka kobiet, jakiś mężczyzna, wtedy raźniej było maszerować. Tak naprawdę, to czasem Kazimierz zabierał chętnych na furmankę i wioził do miasta. Gdy żadna z sąsiadek nie wybierała się do Szczebrzeszyna, Katarzyna sama maszerowała do Radeznicy. Często się zdarzało, że jadący furmanką jakiś gospodarz z Czarnegostoku, albo z Gorajca zabierał ją ze sobą. Bywało też tak, że Kazimierz w sobotę po wieczerzy oświadczał:

- Jutro wszyscy jedziemy do kościoła.

Cóż to była za radość. Wyruszali całą czwórką z Jaśkiem i ciotką Kaśką na mszę, albo na sumę, w zależności od tego jak szybko udało im się zrobić obrządek.

Było przy kim chodzić. Koń, klacz na oźrebieniu (to ona urodzi kasztanka, którego później Jan tak bardzo pokocha i nawzajem), dwie krasule, parę prosiaków, garstka kur, cztery gęsi siodłate¹ (oczka w głowie prababki), dlatego każdy miał wyznaczone co (czy kogo, jak się się pisze o zwierzętach: coś czy ktoś?) nakarmić, napoić, "pogadać". Kazimierz gadał ze swoim konikiem, tę cechę odziedziczy Jan i także będzie rozmawiał, zwłaszcza podczas długich i uciążliwych wyjazdów w interesach z ukochanym kasztankiem tak dla zabicia czasu i by nie czuć się samotnym. Katarzyna zachwycała się swoimi "siodłatkami" widząc oczyma wyobraźni ile pierza z nich wyskubie na pierzyny, na poduszki..., a może którąś na rosół przeznaczy.

Powrót z kościoła był ciekawym przeżyciem, a to dlatego, że zawsze ktoś się dosiadał po drodze, Kazimierz nie umiał odmówić pomocy. Zabierał każdego kto tylko o to poprosił. I tutaj o tych ciekawych przeżyciach: radia wtedy jeszcze nie było w naszej wiosce, więc wszyscy wszystkim coś opowiadali, tłumaczyli, zasięgali porady - słowem na Kazimierzowej furmance robiło się tłoczno i wesoło. A sam gospodarz? nastawiony przyjaźnie do ludzi lubił te pogawędki. Czasem sam coś ciekawego dorzucił, pożartował...

Niedziela mijała bardzo szybko. Poniedziałek rozpoczynał kolejne mniej lub bardziej pracowite dni tygodnia w zależności od pory roku. Wtorek był dniem targowym w pobliskim miasteczku, więc nadarzał się okazja by pojechać, coś kupić, sprzedać coś. Kazimierz podobnie jak jego sąsiedzi najczęściej jeździł późnym latem, gdy uprzątnął z pola zboże, wykopał ziemniaki - można je było sprzedać bez problemu. Grosz zawsze w domu się przyda - mawiał do żony.

Wyjazd na jarmark to była cała wyprawa. Katarzyna już od rana szykowała swoje specjały: kilka osełek masła, jajka, śmietanę, powiazaną w pęczki natkę pietruszki, trochę cebuli, zabiła nawet i wypatroszyła dwie dorodne kury zwijając je w czyste lniane ściereczki. Kazimierz nasypał do płóciennych worków pszenicy, ziemniaków, zabrał trochę czerwonych (ćwikłowych) buraków. Po

¹ Siodłatymi nazywano w naszej wsi takie gęsi, które miały szaro białe ubarwienie z przewagą szarych piór na skrzydłach bądź w ogonie.

ułożeniu wszystkiego na na wozie byli gotowi do wyjazdu.

Tym razem Jasiek został w domu. Kazimierz brał go ze sobą tylko wtedy gdy jechał sam - chłopak pilnował wozu i konia (bo złodziei w tamtych czasach nie brakowało), podczas gdy on załatwiał różne sprawy. Dzisiaj jechali we dwoje, więc kiedy on będzie załatwiał swoje niecierpiące zwłoki sprawy Katarzyna posiedzi na wozie, albo postoi obok umilając sobie czas pogawędką z kimś, kto będzie w pobliżu.

Może to wydawać ci się Czytelniku dziwne, ale w czasach gdy radio nie było tak dostępne jak dzisiaj, o telewizji już nie wspomnę, pogaduszki były wprost bezcenne. Można było później w domu rozstrzygać taką czy inną kwestię, zastanawiać się nad taką czy inną informacją. Tak zdobywało się wiedzę, doświadczenie w obyciu z ludźmi, zaspokajało każdemu z nas naturalnie przypisaną ciekawość...

Jedziemy, rzucił hasło Kazimierz. Pomógł żonie wdrapać się na wóz, wydał ostatnie polecenia siostrze. Jan jeszcze spał, zwinięty w kłębek jak kot, potem po latach gdy wyda ostatecznie tchnienie babcia znajdzie go w takiej pozycji, ale nie uprzedzajmy faktów, póki co jest jeszcze chłopcem i całe, pełne niespodzianek życie przed nim.

Jest wczesny poranek, taki cichy z nutką gasnącego lata w tle i pierwszym oddechem nadchodzącej jesieni. Małżeństwo Smotrów, albo Smoterów (do dziś nie wiem jak się pisze i mówi poprawnie) jedzie na targ w Szczebrzeszynie. Jadą na skrót - polną drogą, która uparcie wspina się pod górę, potem przez las. Wstążki pól, śródpolny cmentarz (za chwilę o nim napiszę), droga przez wieś, cerkiewka - w tej okolicy mieszkają prawosławni, jedna wioska, druga i... miasteczko. A tu wielki gwar, murowane domy, dużo, dużo ludzi zwłaszcza przyjezdnych, tak jak oni gospodarzy z okolicznych wsi.

Wróćmy do wspomnianego powyżej cmentarza. Założyli go miejscowi prawosławni. Ich pochówki zdobią kamienne nagrobki zwieńczone krzyżem z dwoma ramionami - poprzecznym i ukośnym (co oznacza że belka poprzeczna przeznaczona jest dla rąk ukrzyżowanego Chrystusa, a dolna belka pod Jego nogi. Jeden koniec dolnej belki jest podniesiony. Ten koniec pokazuje na niebo, dokąd udał się Dobry Łotr, ukrzyżowany razem z Chrystusem. Drugi koniec - opuszczony wskazuje na piekło, miejsce dla drugiego łotra, który nie wyraził skruchy.²⁾ oraz zwykłe, drewniane krzyże także z dwoma belkami. Pośród nich uwagę Katarzyny zwrócił duży, jasny pomnik bez takiego krzyża.

- Chyba Polak jakiś tu pochowany, zwróciła się do Kazimierza.

Ten zatrzymał konia. Katarzyna zeszła z wozu, zatrzymała się przy ogrodzeniu oddzielającym cmentarz od otoczenia, ale powstał wielki problem - ona nie umie czytać! Patrzyła więc z wielką uwagą starając się zapamiętać każdą literę. Ale po co? Ot tak, dla zaspokojenia własnej ciekawości.

- Chodź, niecierpliwiał się Kazimierz, musimy jechać. Jak będziemy wracać, to sobie popatrzysz dłużej.

Ociągając się, niechętnie weszła z powrotem na furmankę...

Wjeżdżali do miasta od strony młyna, co tuż nad rzeką stał - jej nazwa wydawała się Kazimierzowi taka głupia - jak można mówić o rzece "Wieprz". Wieprze, wieprzki to on trzyma w oborze, karmi, zabija, robi kiełbasy, boczki, a tu rzeka Wieprz - dziwne, śmieszne, głupie, mrucał do siebie pod nosem.

Na drodze prowadzącej do miasta robił się tłok. Uważnie by nie potrącić jadących obok skierował swojego konia w stronę rynku. Tutaj było już bardzo tłoczno. Ledwie znalazł skrawek wolnego miejsca nieopodal dużego w porównaniu z innymi budynku nazywanego przez miejscowych "Oberżą".

Szybko znaleźli się chętni do kupowania. Katarzyna nie miała problemu ze sprzedażą przywiezionych produktów. Miejscowe gospodynie, wybredne, a jakże znały tą prostą, uczciwą a nade wszystko czystą, zadbaną kobietę ze wsi, nazwę której powtarzały kilka razy aby zapamiętać. Masło Katarzyny bardzo wszystkim smakowało, oczywiście każda z kupujących musiała spróbować. Duże zainteresowanie wzbudziły elegancko wypatroszone, a na dodatek zawinięte w czyste lniane ściereczki kury. Po związanej w pęczki pietruszce i cebuli po chwili nie było już ani

2 Wg. *Krzyż prawosławny*, Wikipedia - wolna encyklopedia (wgląd 22. XII. 2016 r.).

śladu. I tak jeden, po drugim pozbywała się swoich "skarbów", a pradziadek Kazimierz kiwał tylko głową...

- Ciebie kobieto to tylko na targ wozić, mrucał zadowolony...
- Chyba tak, ona na to.

Niebawem szczęście uśmiechnęło się także do niego.

- Dzień dobry gospodarzu, usłyszał z dziwnym akcentem w głosie.
- Dzień dobry odparł wpatrując się uważnie w twarz nieznanomym.
- Pszenicę macie?

- Mam. Powoli rozwiązywał worek. Złociste, dorodne ziarna połyskiwały w słońcu, które na tę chwilę figlarnie spojrzało z nieba. Starszy z nieznanomym zanurzył dłoń w worku z lubością przesypując ziarna przez palce jakby chciał się nacieszyć ich zapachem, a był to zapach wiatru, słońca, skiby ziemi zaoranej o świcie, zapach chleba...

- Biorę odrzekł po chwili namysłu. Wszystko. Kazimierz podał jego zdaniem rozsądną cenę. Po chwili dobili targu. Powstał mały problem - trzeba było zawieźć zboże do młyna obok którego przejeżdżali zdążając w stronę targu.

- No dobrze, Kazimierz na to, ale moja (tak się wyraził o żonie) chciała jeszcze zrobić jakieś sprawunki, jak pojedę będzie musiała iść spory kawałek do młyna.

- Czy mogę wam zaufać? Starszy z nieznanomym uważnie spojrzał w oczy pradziadka.
- Przecież, Kazimierz na to, zapłacicie mi jak przyjadę ze zbożem. Tak będzie uczciwie.
- No jasne, nieznanomy z westchnieniem ulgi klepnął się w czoło.
- Dobrze załatwajcie swoje sprawy, a potem przyjeżdżajcie do mnie.

Kupujący odeszli w swoją stronę. Katarzyna w swoją. Widać to właściciel młyna, przemknęło pradziadkowi przez myśl. Ale kupiec mi się trafił. Ho, ho... Skręcił papierosa, zaciągnął się z zadowoleniem. Oparty o furmankę obserwował wzmagający się dokoła gwar. Koń spokojnie zanurzył łeb w obroczniku przegryzając owies, w końcu gospodarskim był koniem więc... Katarzyna powoli wtopiła się w tłum, krótko mówiąc wszyscy byli zadowoleni.

Kiedy zboże bezpiecznie dotarło do młyna, a Kazimierz przeliczył pieniądze można było myśleć o powrocie. Dłuższy czas jechali w milczeniu. Każde z nich po swojemu przeżywało mijający dzień. Kamienista droga płynęła w głąb wioski przez którą już przejeżdżali kierując się w stronę miasta. Potem następna wioska, w tej była cerkiew. Teraz Kazimierz musiał zjechać na pobocze, bo ciekawość prababki nie miała granic. Zeszła z wozu, dziękując delikatnym skinieniem głowy za wyrozumiałość i zamaszystym krokiem pomaszzerowała w stronę cerkwi. Dostępu do świątyni bronił nie za wysoki ale mur - trzeba było świątą część oddzielić od tej pospolitej drogi nad którą latem unosił się kurz a w jesieni błoto chlupotało ludziom w butach.

Przez drewnianą furtkę zaczęła obserwować plac dokoła cerkwi zerkając ciekawie jednym okiem. Za ogrodzeniem nic ciekawego się nie działo, ale.. niebawem ukazał się duchowny. To pop, przemknęło jej przez głowę. Znała tę nazwę bardzo dobrze, bo ponoć dawno, dawno temu w naszej wiosce także była cerkiew i jej mama a moja praprababcia jej o tym opowiadała. Cerkiew rozebrali z bardzo prozaicznej przyczyny, ale pamięć o niej pozostała.

A z tą rozbiórką to było tak: było lato, gorąco kierujący wytyczaniem drogi z Trzęsin do Czarnegostoku inżynier przyszedł do popodii (żony popa) z prośbą o coś do pica. Ta pozostała obojętną na jego prośbę. Inżynierowi doskwierał upał, był bardzo zmęczony, a tu jeszcze taka przykrość. Szybko podjął złośliwą decyzję: wytyczyć drogę poprzez środek cerkwi. Po co nam cerkiew, po co prawosławni... jak pomyślał tak i zrobił. Pop nie miał nic do powiedzenia. Plan inżyniera zatwierdzono i... w taki sposób z czarnostockiego krajobrazu znikła cerkiew, pozostała jedynie malutka, kamienna kapliczka, która, jak głosi wieść jest zakrytą byłej cerkwi. Tyle ustny przekaz, ile w niej prawdy nie wiadomo, ale wiadomo że w czasach moich pradziadków i dziadków w Czarnymstoku cerkwi już nie było.

Pop powoli zbliżał się w stronę furtki za którą wstrzymując oddech stała prababka Katarzyna. Zdjął zaszczepkę - furtka odskoczyła na bok, Katarzyna także, ale już nie było czasu na ucieczkę. Stała patrząc trochę wylężnionym wzrokiem na okazałą postać duchownego. Jego twarz okalała ładnie przyszyżona broda, uśmiechnął się na widok kobiety. Nic nie powiedział, ale przyjaźnie

skinął głową w jej stronę. Odwzajemniła nieme pozdrowienie.

Pop dostrzegł siedzącego na wozie Kazimierza. skierował się w jego stronę. Katarzyna wykorzystując ten moment weszła na plac przy cerkiewny. Stała przed wejściem do budynku rozglądając się ciekawie dookoła. Cały z czerwonej cegły pokrywał dach zrobiony z gontów na szczycie którego znajdowała się kopuła z drewnianym dwuramiennym krzyżem. Już miała podejść do drzwi wejściowych, gdy usłyszała za sobą kroki. odwróciła się pospiesznie. Tym razem odezwał się pop:

- Ciekawi jesteście co tam w środku?.
- Tak, odparła zmieszana.
- No to zapraszam, on na to.

Otworzył masywne drewniane drzwi. Katarzyna weszła nieśmiało delikatnie stawiając kroki jakby się obawiała, że spłoszy świętych, albo samego Boga, który chyba przecież tutaj także zamieszkuje. Pop stał z boku obserwując ją ciekawie. Uklękła przed, jak jej się zdawało ołtarzem, zrobiła znak krzyża, ale po dokładnym obejrzeniu stwierdziła że to nie jest ołtarz taki jak w kościele do którego zwykła chodzić. To było coś innego, czego nie umiała nazwać. Dziwne, myślała w duchu, ale widocznie tak ma być.

Ze wszystkich ścian patrzyły na nią dostojne twarze świętych. Każdy z brodą bielutką jak mleko w przepysznych, kolorowych szatach. Dostrzegła także (nie wiedziała że takie obrazy nazywają ikonami) obraz Matki Bożej z Dzieciątkiem na ręku .

- Do niej także się modlą, to dobrze, westchnęła cichutko. To dobrzy ludzie...Kiedy zaspokoila ciekawość wyszła na zewnątrz, oczywiście wcześniej dziękując duchownemu, że był łaskaw pokazać jej, prostej kobiecie ze wsi te wszystkie wspaniałości.

- Bo wie pop, odezwała się na pożegnanie, byłam bardzo ciekawa jak to jest w tej waszej cerkwi.
- No i jak? zapytał pop.

- Trochę inaczej jak u nas, ale przecież modlicie się do Boga. A powiedzcie mi, czy wasz Bóg jest taki sam jak nasz?

Na twarzy popa pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech.

- Tak, odparł bardzo poważnie by nie urazić Katarzyny, taki sam, tylko wy inaczej sprawujecie swoje obrzędy, a my nieco inaczej.

Dla Katarzyny było to nowe słowo, które bardzo chciała zapamiętać, a nade wszystko zrozumieć. Bóg jest jeden dla wszystkich, tłumaczyła sobie w duchu, tylko ludzie są inni. Ta rozmowa była dla niej czymś zupełnie nowym. Będzie miała teraz o czym rozmyślać w długie zimowe wieczory, gdy zmrok następuje tak szybko, wszyscy kładą się wcześniej spać by oszczędzać naftę, bo elektryczności jeszcze wtedy nie było...

Taka była Katarzyna. Ciekawa świata, ludzi, być może tę cechę odziedziczyła po swoim przodku, o nazwisku *de Furlep*, który jak wieść głosi kawałek Europy z Armią Napoleona przewędrował i postrzegał świat i to co wokół na swój prywatny sposób. Faktem jest że nazwisko Furlepa właśnie od niego pochodzi. Ile w tym prawdy? a któż to może wiedzieć, ale pradziadek Kazimierz wiedział że jego żona jest inna od pozostałych kobiet we wsi. Nie zajmowała się plotkami, cechą tak specyficzną zwłaszcza dla tego środowiska, nie wystawała z sąsiadkami przy opłotkach, dla niej najważniejszy był dom, mąż, rodzina...Lubiła także, zwłaszcza zimą gdy na nieboskłonie rozsiadły się roje gwiazd wyjść na podwórko, chociaż zimno, chociaż mróz i pogapić się w niebo. Nie raz miał ochotę spytać:

- Czego tam szukasz kobieto?, ale odpuszczał.
- A niech tam..., mruzczał pod nosem.

Rozmowa z popem dobiegła końca. Prababka do końca nie wiedząc jak ma się zachować rzekła:

- Dziękuję wam za rozmowę.
- Niech Bóg prowadzi, on na to.

Skinęła głową na pożegnanie. Pradziadek niecierpliwił się na wozie:

- Chodź że, krzyknął wreszcie.

Zdziwiona spojrzała w jego stronę. Nigdy się tak nie zachowywał, zawsze był spokojny, opanowany. Kazimierz nie miał czasu na tłumaczenia, wskazał tylko ręką w stronę nieba. Wszystko stało się jasne. Od strony lasu otaczającego wioskę nadciągały ciężkie, złowrózne czarne chmury. Takie chmury to zwiastuny letnich burz. Rzadko bywały w tych stronach, ale Katarzyna już jedną taką przeżyła w przeddzień ślubu z Kazimierzem. Do dziś pozostały jej w pamięci słowa znachorki Skórzychy, że to na jej małżeństwo taka zlewa, że będzie źle w ich życiu. Znachorka, znachorką, a życie potoczyło się zupełnie inaczej i prababka Kaśka raczej była zadowolona ze związku ze starszym ciut, ciut od niej Kazimierzem.

Podcięty batem konik zebrał wszystkie siły i ruszył z kopyta przed siebie, chyba także wyczuł niepokój w sercu gospodarza bo pędził dłuższą chwilę na ile mu sił wystarczyło, Katarzyna trzymała się siedzenia zrobionego z deski okrytej starą derką. Po upływie pewnego czasu skręcili koło mijanego wcześniej cmentarza na polną drogę. Koń zwolnił biegu, właściwie to zaczął człapać, drewniane koła wozu obciążone blaszaną opaską ugrzęzły w pisku. Trzeb było mu dać wytchnienie. W oddali ukazała się ściana lasu, przez który trzeba było przejechać. A jak zaczął strzelać pioruny, przemknęło przez głowę pradziadka. Nie miał wyboru. Innej drogi nie było. nagle, jakby na komendę oboje obejrzel się za siebie - bo zrobiło się tak dziwnie: jasne niebo w zasięgu ich wzroku, a za nimi gdzieś daleko, daleko pozostały groźne bure chmurzyska, jakby jakiś dobry duszek czuwał nad dwojgiem ludzi, którzy akurat w tej godzinie i w tym miejscu musieli się znaleźć.

Kazimierz ściągnął lejce. Zeskoczył z wozu, pomógł zejść Katarzynie.

- Dzięki Bogu zawołali jednocześnie.

Zadowolony konik zarżał radośnie, z wielką ulgą, jak się pradziadkowi zdawało. Co by nie mówić tego dnia sama Opatrzność czuwała nad nimi. Bo strach pomyśleć co by było, gdyby burza zastała ich lesie, gdyby piorun w nich uderzył albo w drzewo...

Dalsza podróż minęła spokojnie, bez żadnych przeszkód. Tych dwoje ludzi miało to do siebie, że każde z nich żyło we własnym świecie myśli, pragnień, słowem potrafili izolować się od otoczenia by... "powędrować" gdzieś tam, gdzie było lepiej niż w ich szarej codzienności, gdzie nikt o nic nie pytał. Czasem uciekali we wspomnienia z odległych, młodzińskich lat, czasem rozpamiętywali przeżycia danego dnia. Tak stało się i teraz. Katarzyna powróciła do momentu spotkania z popem i rozpamiętywała każde jego zdanie, analizowała to, co jej powiedział, zastanawiała się nad ilością wyznań, czy religii, a przecież Bóg jest jeden, tłumaczyła sobie. Zawsze jeden.

Kazimierz wspominał chwilę, kiedy zegnali się ze starszym synem Marcinem. Kończył odbywać służbę wojskową, szczęśliwi byli z Katarzyną że wreszcie wróci do domu, pomoże w gospodarstwie, a tu ... wojna. Wpadł na kilka dni na przepustkę i ... pomaszerował na front.

Nie minęło wiele czasu, tak się przynajmniej Kazimierzowi wydawało, a tu przyjeżdża posłaniec z wiadomością, która zwała pradziadka z nóg: Marcin nie żyje!. Katarzyna wiedziała wcześniej, ale on nie dawał wiary temu co mówiła cała spłakana. Nie wierzył w żadne przesady. Tym razem bardzo się pomylił. A skąd prababka mogła wiedzieć, że ukochany syn nie żyje. Przecież był daleko, na froncie, gdzieś w okolicach Zamościa. Było to tak:

Ktoregoś wieczoru, gdy siedzieli w kuchni przy wieczerzy za oknem usiadł puszczyk (pućko, jak do dzisiaj najstarsi ludzie mówią w Czarnymstoku) i trzy razy przeraźliwie krzyknął: "wywieź"!, "wywieź"!, "wywieź"! Katarzyna na to zawołanie zbladła, wypuścił łyżkę z ręki i odezwała się jakimś nieludzkim głosem "już po moim Marcinie".

- Mamo, krzyknął na to Jasiak!

- Co ty kobieto wygadujesz, odezwał się Kazimierz.

- Kajziu (tak w naszej wiosce wszyscy mówili na niego), przecież on krzyczał "wywieź"!, a to oznacza pogrzeb.

- Przesady, machnął ręką zdenerwowany, ale niepokój w sercu pozostał.

Za kilka dni posłaniec przyniósł powiastkę (zawiadomienie) że *Marcin Smoter, syn Kazimierza i Katarzyny z Furlepów małżonków Smotrów nie żyje! Poległ w walce pod Ruskimi Piaskami.*

Rozdział drugi o tym jak Jan szukał żony

Mijały lata, Jasiek wydorósł już był Janem, miał za sobą służbę wojskową. Rodzicom z każdym rokiem przybywało siwych włosów na skroniach, przygarbili się troszkę... Któregoś wieczoru, a był to jeden z takich wieczorów, kiedy gospodarze już dłużej przesiadują w domu, dni stają się krótsze, noce długie, głębia nieba wypełnia się obfitością gwiazd. W taki wieczór po skończonej wieczerzy odezwał się ojciec do Jana:

- Pora synu, abyś pomyślał co dalej zamierzasz robić. Swoje lata już masz, my się z matką starzejemy, przydałaby się jakaś kobieta w obejściu, żeby pomocną ci była, żebyś nie był samotny. Jan spojrział w oczy Kazimierza już nieco wyblakłe, jakby zasmucone z lekka.

- Przecież wiecie tato, że szukałem odpowiedniej dziewczyny, ale nie natknąłem się w naszej wiosce na taką, no może poza jedną, ale jej ojciec zdecydowanie powiedział: nie!, chociaż dziewczyna była rada.

- A któż to taki, odezwała się Katarzyna, która do tej pory przysłuchiwała się uważnie rozmowie swoich mężczyzn.

Policzki Jana przyozdobił lekki rumieniec.

- Zosia od Miodziarzów powoli wyrzucił z siebie.

Kazimierz z żoną popatrzyli na siebie uważnie.

- Za wysoko sięgasz synu, odezwał się ojciec, to bogata rodzina. Bronek nie odda swojej córki za pośledniego gospodarskiego syna - jego zięć musi być bogaty.

- No to co mam zrobić, Jan na to.

- Poczekaj, poczekaj, zastanawiał się na głos Kazimierz. Mam znajomego w sąsiedniej wiosce, wprawdzie to kawałek od nas, ale tam są aż trzy dziewczyny, urodziwe, robotne, zwłaszcza jedna przypadła mi do gustu, ale to nie ja się będę żenił, ty sam musisz wybrać. Zrobimy tak: dam Ci dla Jaśka coś do zawiezienia - prosił mnie o trochę pszenicy z tej nowej odmiany, co w tym roku tak ładnie u nas obrodziła. Weźmiesz pół metra na furmankę, zaprzęgniesz naszego kasztanka i pojedziesz. Popatrzysz sobie na dziewczyny, zagadasz z tą, która ci się spodoba, a potem z Bożą pomocą się ułoży.

Jan wstał od stołu.

- Dziękuję tato.

- No dobra, dobra, machnął ręką Kazimierz. Pogadamy jak wrócisz. Teraz pora spać, bo już późno, a jutro trza nam do lasu pojechać, drzewa na zimę przywieźć, ściółki nagrabić, chałupę ogacić trzeba...

Chałupa Kazimierza zbudowana z solidnych sosnowych belek, zapewne jeszcze przez prapradziadka Michała stała w pobliżu drogi biegnącej przez wieś. Obok znajdowała się studnia z żurawiem, dalej były zabudowania gospodarskie a za nimi pole ciągnące się szeroką wstążką w stronę lasu. Z drugiej strony drogi w kierunku na Smoryń była łąka.

Gospodarz, do którego wybierał się Jan rzeczywiście miał trzy córki: Rozalię, Zofię i Mariannę oraz dwóch synów - Wincentego i Jana. Rozalia wyjechała z grupą kobiet z Gorajca w poszukiwaniu roboty za granicą, była w Niemczech. Zofia wyszła za męża, w domu została Marianna.

Jan z utęsknieniem wyglądał niedzieli. Wystroił się w nową, świeżo uszytą koszulę, spodnie wpuścił w buty z cholewami, uprzednio wyglansowanymi do połysku, podkręcił nieduży wąs, przygładził czarną czuprynę.

- Weź marynarkę, rzucił Kazimierz, może się zasiedzisz do nocy i będzie zimno.

Przed domem stał już zaprzężony do wozu kasztanek. Włożyli z ojcem na furmankę obiecaną pszenicę. Jan przeżegnał się na drogę - zawsze to robił gdy wyruszał w jakąkolwiek podróż.

Spory kawał drogi było do tej wioski. Jechał przez łąki, przez pola, koło cmentarza, na który jak się później okazało spoczywali dziadkowie Marianny. Zaciekawiał go na tym cmentarzu widoczny z daleka wysoki kamienny krzyż. Zatrzymał konia przywiązując do dyszla obrocznik. Odpocznij

sobie, poklepał kasztanka po przyjacielsku po szyi, a ja pospaceruje sobie po tym cmentarzu.

Tuż przy wejściu owionęła go zielona, tajemnicza cisza. Zatrzymał się na chwilę. Nigdy nie chodził po obcych cmentarzach. W Trzęsinach jeszcze cmentarza nie było, a w Szczebrzeszynie gdzie spoczywali jego dziadkowie bywał z rodzicami w Święto Zmarłych. Tutaj był pierwszy raz.

Krzyż, który go tak zaintrygował stał nieopodal. Podszedł w jego stronę. Powoli odczytał nazwisko księdza, który wystawił tak okazały obelisk na pamiątkę założenia cmentarza. Patrząc na datę obliczył sobie że to było już ponad kilkadziesiąt lat temu. Zaczął ciekawie rozglądać się dokoła, jego uwagę zwrócił stojący na wysokim postumencie sporych rozmiarów anioł, który trzymał w jednym ręku kamienny miecz, a w drugim tabliczkę z nazwiskiem zmarłej osoby. Bogaci muszą być w tych stronach gospodarze, skoro stawiają tak piękne pomniki, myślał. Dłuższą chwilę stał przed okazałym aniołem - patrzyli sobie w oczy. Ten milczący posłaniec Boga z tajemniczym, ledwo dostrzegalnym uśmiechem na kamiennej twarzy i on malutki człowiek w duchowym i fizycznym tego słowa znaczeniu. Czas na mnie, otrząsnął się Jan ze swoich rozmyślań. Zamaszystym krokiem ruszył ku wyjściu. Kiedy dochodził do głównej alejki biegnącej w stronę bramy zauważył przy jednym z grobów jakąś kobietę. Podszedł do niej.

- Witajcie, czy mogę was o coś zapytać?

Kobieta uważnie spojrzała na Jana.

- A możecie, o co chodzi ?

- Jestem pierwszy raz w tych stronach, szukam gospodarza o nazwisku Miksza. Miksza Jan prawil.

- To wasz znajomy?.

- Mojego ojca, jadę do niego w interesach.

- To sąsiednia wioska, już niedaleko, jak weźmiecie na wóz, chętnie pokażę, bo ja też tam mieszkam.

- Oczywiście, Jan na to. Chodźcie.

Razem udali się w stronę bramy.

- Bogaci ludzie u was mieszkają, podjął rozmowę.

- Dlaczego tak myślicie?

- Ładne te wasze pomniki na cmentarzu.

- Ano, różni ludzie tu mieszkają ona to. Biedni i bogaci, jak wszędzie.

Za bramą ze łbem zanurzonym w obrocniku stał kasztanek. Gdy usłyszał kroki, wyciągnął łeb i zarżał cichutko na powitanie. Jan po raz kolejny poklepał go po szyi, widocznie to była ulubiona pieszczota kasztanka, bo tym razem zastrzygły uszami.

- Jedziemy. Odezwał się Jan

Odwiązał obrocnik, schował pod siedzenie. Podał nieznajomej rękę, pomagając wsiąść na wóz i., ruszyli. Jan nie popędzał konia, pozwoli mu iść spokojnie, a sam ciekawie rozglądał się dokoła, właśnie przejeżdżali obok niewielkiego, ale ładnego kościoła.

- To kościół świętego Kazimierza, odezwała się kobieta.

- Mój ojciec mają na imię Kazimierz, Jan na to.

- To muszą być zacnym człowiekiem, bo takie imiona noszą zacni ludzie, jak nasz patron.

- Czy ja wiem. Dobry z niego człowiek, szanuje moją matkę, do mnie też się odnosi dobrze. Mogę z nim o wszystkim porozmawiać. To chyba jest w porządku...

Jechali dalej w milczeniu. Jakoś nie kleiła im się rozmowa. Jan nie był przyzwyczajony do rozmowy z kobietami, poza swoją matką mało z nimi rozmawiał. Bronka, bo tak miała na imię nieznajoma, krępowała się obcego mężczyzny z którym przyszło jej się jechać i to do swojej wioski. Mijali rzędy drewnianych domów. Niektóre były całkiem nowe, inne przygarbione ze starości - jak ludzie, myślał Jan.

- To tutaj odezwała się w pewnym momencie Bronka wskazując na jedno z obejść, ja mieszkam trochę dalej, tam przy tym dużym drzewie. Rzeczywiście, Jan zobaczył przed sobą rosnące przy drodze ogromne drzewo. Zatrzymał konia. Pomógł zejść Bronce z wozu. Podziękował, uchylając na

pożegnanie kaszkietu. Kobieta powoli poszła w stronę swoich zabudowań, a Jasiak wjechał wozem na wskazane na podwórko.

Zabudowania gospodarcze usytuowane były podobnie jak w Kazimierzowym obejściu, tylko nie za szczelnie zamkniętą drewnianą bramą, ale okolone wiklinowym płotem. Widocznie mają tutaj podmokłe łąki i musi być dużo wikliny, pomyślał Jan rozglądając się ciekawie dokoła. Ale z domu już wychodził gospodarz, więc nie było czasu na dalsze obserwacje. Średniego wzrostu mężczyzna, zamaszystym krokiem skierował się w stronę Jana.

- Co was do mnie sprowadza, młody człowieku ?

- Ojciec przysłał mi pszenicę, podobno chcieliście zasiać na wiosnę, by zobaczyć jaki to gatunek, czy urodzajna.

- Syn Kazimierza, uśmiechnął się.

- Tak, Jasiak mi na imię.

- Witaj, witaj. Przywiąż konia tutaj, wskazał wydzielone miejsce przy płocie, zarzuć mu obrok i chodź do domu, poznasz moją Marynkę. Sama mi została, starsza siostra wyjechała na zarobek.

- Czekaście, Jasiak na to, a gdzie mam zanieść pszenicę?

- Tam, Jan wskazał ręką na drzwi przylegającej do stodoły komórki.

Jasiak skierował się we wskazanym kierunku, idąc zauważył, albo mu się wydawało, że poruszyła się firanka w oknie.

- Pochwalony, odezwał się wchodząc do domu. Była niedziela, a w dodatku pora obiadowa. Żona i córka Jana krzątały się w kuchni.

- Na wieki wieków odpowiedziały obie zgodnie. Jasiak uśmiechnął się. Całkiem jak mama i ciotka Kaśka, pomyślał.

- Wchodźcie, wchodźcie, starsza z kobiet zapraszała serdecznie.

- Jestem Jasiak zwrócił się do niej.

- Ona na to: a to nasza najmłodsza Marynka. Dziewczyna nieśmiało spojrzała w stronę Jana.

Niedzielny obiad, zakropiony kieliszkiem samogonu, po którym Jasiak ledwo złapał oddech (wiadomo swojej roboty!), minął w spokojnej, miłej atmosferze. Pogadali o tym i o tamtym jak to mają w zwyczaju ludzie, którzy spotykają się po raz pierwszy. Pod koniec rozmowy Jan zwrócił się do Jaśka:

- A wpadnij jeszcze kiedyś do nas. Ojców pozdrów.

- Pozdrowię. Jasiak podziękował i pewnie wpadnę, bo..., tutaj lekko się zaciął, podobasz mi się Marynka. Tak prawdę mówiąc przyjechałem tutaj z myślą by cię poznać. Ojciec cały czas gadają mi o ożenku, a ja jak dotąd nie mam swojej dziewczyny.

Marynka chciała się odciąć, ale uważne spojrzenie matki powstrzymało jej reakcję - w tamtych czasach dzieci słuchały jeszcze rodziców. Odpowiedziała więc całkiem spokojnie:

- No, nie wiem czy ja się nadaję na żonę dla ciebie. W twojej wsi jest zapewne dużo ładniejszych i bogatszych dziewczyn, tylko patrzeć jak ci się któraś spodoba i zechcesz z nią być.

Jasiak tylko westchnął na taką odpowiedź.

- Widzisz, są, a jakże. Miałem taką jedną na uwadze i w sercu wyznał czerwieniąc się po same uszy, ale jej ojciec, gospodarz bogaty na całą wieś powiedział: nie!

Po tym szczerym wyznaniu przez chwilę patrzyli sobie uważnie w oczy.

- Szczery to jesteś, odezwał się Jan.

- A co będę ukrywał, Jasiak na to. Na kłamstwie człowiek daleko nie zajędzie.

- A no nie, podchwyciła temat matka.

Przed odjazdem Jasiak napił jeszcze swego kasztanka, pożegnał się serdecznie i ruszył w drogę powrotną. Przed wieczorem, kiedy słońce już układało się za płaską linią horyzontu do snu powrócił do domu. Wyprzągnął konia, zaprowadził do stajni, podsypał owsa do zrobionego własnoręcznie przez Kazimierza żłobu i powoli skierował się w stronę domu.

Katarzyna z Kazimierzem czekali niecierpliwie aż zacznie opowiadać. Czekała też siedząc w kącie pod piecem ciotka Kaśka. Więc zaczął powoli, dokładnie, nie omijając żadnego szczegółu

mówić, a to co było na obiad, a jak się zachowywali rodzice, dziewczyna, a jak wyglądają zabudowania, a na sam koniec oznajmił:

- Wiecie tato, powiedziałem Marynce jak to ojciec Zośki Miodziarzowej odrzucił moją prośbę, powiedziałem też że szukam żony

- I... Kazimierz na to.

- Podobało się jej ojcom, że jestem szczery, a ona tak uważnie i długo na mnie patrzyła.

- Będzie dobrze, odezwała się Katarzyna. Będzie dobrze.

- Tak myślicie mammo?

- Tak myślę...

Rozdział trzeci, jak to w gospodarstwie i z ożenkiem bywa.

Na drugi dzień, a był to poniedziałek (jak ten czas szybko leci), Jan szybko zerwał się z łóżka, umył, zgolił sypiący się zarost i włożył codzienne, ubranie - to świąteczne powędrowało do szafy, ale Katarzyna i tak robiła pod koniec tygodnia przegląd czy aby koszula syna i męża nie są, brudne, może trzeba wyprać, bo wstyd by było przed ludźmi gdyby pokazali się w brudnych koszulach zwłaszcza w kościele.

Drewniana, dwudrzwiowa szafa pamiętała jeszcze mojego prapradziadka Michała, a Janowego dziadka. Jak jasek był mały chował się do niej przed starszym Marcinem, który zaganiał go do różnych robot, a jak wiadomo mali chłopcy bardziej lubią się bawić niż... pracować.

W oczekiwaniu na śniadanie (Katarzyna zawsze lubiła podać coś ciepłego, a to kluski z mlekiem, a pajdę pieroga z masłem domowej roboty i białą kawą, rzadko robiła jajecnicę bo jajka w tamtych czasach były drogie i można je było sprzedać w wiejskim sklepiku, i coś za nie kupić, choćby sól, naftę czy kawałek cukru) Jan wyszedł na podwórek. Ojciec już się krzątał koło dobytku. Trzeba było napoić konia, krowy, podrzucić im siana, kasztankowi z garść pszenicy albo owsa - musiał mieć siłę by pole zorać. Kiedy rosa opadnie krowy pomaszczą na pastwisko, kasztanek do pługa. Była już wczesna jesień, najwyższy czas zakończyć wszelkie polowe roboty przed nadchodzącą zimą, a ta często dawała się wszystkim we znaki.

- Tato, poczekajcie, pomogę odezwał się do Kazimierza

- Oj dobrze, dobrze, ucieszył się Kazimierz. Chyba będziemy mieli urodziny, wskazał na kręcącą się z niepokojem krasulę, nabrzmiałą od dojrzałego płodu.

- Leć po matkę, tu kobiecej ręki trzeba.

Kiedy wracali pospiesznie z Katarzyną do obory, Kazimierz już odbierał zdrowego cielaka. Jan z matką szybko podrzucili świeżą słomę na podściółkę. Cielak nieporadnie stawał, jak się Jaśkowi zdawało na długie nogi. Podtrzymywany przez gospodarzy - tego starszego, doświadczonego i tego, który dopiero się uczył, powoli odzyskiwał równowagę. Stał przez chwilę, po czym zaczął się słaniać.

- Słaby jeszcze, odezwał się Kazimierz. Podtrzymał cielaka, aż ten ułożył się na słomie.

Mama krasula zaczęła oblizywać go swoim szerokim, szorstkim językiem.

- Przyniosę jej coś do picia, odezwała się prababka .

Mężczyźni tymczasem uprzętnęli legowisko krasuli. Kiedy już dostała swoją porcję wywaru z ziół zmieszonym z zagotowanym lnem (na oczyszczenie jak mawiała Katarzyna) można było odetchnąć.

Zioła poświęcone w dniu Matki Bożej Zielnej w tamtych czasach przechowywała w domu każda szanująca się gospodyni. Pamiętam z dzieciństwa jak babcia Marianna, także poila takimi wywarami krowy po ocieleniu.

Po śniadaniu Jasek z ojcem uciął sobie krótka męską pogawędkę, po której zrobiło mu się jakoś lżej na sercu. Teraz już wiedział, że dołoży wszelkich starań, by Marianna została jego żoną.

Tydzień włókł się niemiłosiernie długo. Jasek nie mógł doczekać się niedzieli. Wiedział, że wtedy zgodnie z pragnieniem rodziców znów pojedzie na Sokołówkę. Potem chodził na piechotę. Pół dnia w jedną stronę, pół z powrotem, u Marianny posiedział trochę i w.. drogę.

Marianna dobrze gotowała, zawsze czekał go smaczny obiad, więc żeby nie być darmozjadem zawsze coś zanosił w prezencie: a to suszone grzyby, a to kilka wypatroszonych, lekko posolonych

ryb, które z powodzeniem łapali w sobotę z ojcem w rzece przepływającej przez naszą wieś. Rzeka była wówczas, głęboka, z przezroczystą wodą, widać nawet było czyste, piaszczyste dno, po którym czasem człapał rak- dorodne szczupaki, liny, płotki stanowiły urozmaicenie menu Marianny i jej rodziców.

Pewnego razu, jak rodzinna wieść głosi - Jasiak tak się zasiedział u Marianny, że wracając zablądził. Była już późna jesień, szare chmury kłębiły się nad ziemią. Jan zamiast do swojej, zaszedł do sąsiedniej wsi, mało tego znalazł się pod mostem nad samą rzeką, o mało nie wpadł do lodowatej wody. Kiedy zaczął się rozglądać dookoła zobaczył nad sobą sufit. Ogarnęło go przerażenie.

- Gdzie ja jestem, krzyknął.

Wziął głęboki oddech i znów bojaźliwie zaczął się rozglądać. Powoli dostrzegł drewniane pale, połyskującą taflę wody, zrozumiał że jest pod mostem. Wspiął się po zboczu w górę i wszedł na most.

- Dobrze, spytał sam siebie, w którą stronę teraz iść?

Przed oczyma, po prawej ręce zamajaczył mu jakiś kształt. W tym momencie wskoczył na niebo księżyc oświetlając tenże kształt. To była stojąca nieopodal mostu drewniana kapliczka, w której mieszkał nie nikt inny tylko Jan Nepomucen - opiekun rzek, strumieni i.. chyba zabląkanych wędrowców jakim w tamtej chwili był mój dziadek.

Znał tę kapliczkę. Ile razy jechali furmanką na nabożeństwo w kościele w Radecznicy ona zawsze stała po lewej ręce, teraz miał ją po prawej, to znaczy, szepnął do siebie, że mam iść prosto aż dojdę do domu. Zdjął ze spoconej głowy kaszkiet, wytarł czoło, uklonił się, a jakże swemu imiennikowi Nepomucenowi i... pomaszerał do domu. Po tej przygodzie Kazimierz odezwał się do syna:

- Synu, trzeba pomyśleć o swatach.

- Tato, krzyknął na to Jasiak!

- Ano tak, tak, odpowiedział ojciec. Widzę, że ta Marynka całkiem, całkiem przypadła ci do gustu. Nie możesz się doczekać niedzieli kiedy do niej polecisz.

- Tato, znowu krzyknął z wyrzutem w głosie.

- Nie wypieraj się. Kazimierz patrzył rozbawiony na syna, ja też latałem kiedyś za twoją matką.

Katarzyna, która akurat wracała z podwórka i nasza na rozmowę swoich chłopaków (jak ich nazywała) uśmiechnęła się słysząc tą pogawędkę.

- Trzeba się Jasiu ożenić. Lata swoje masz, my się z ojcem starzejemy, a młoda i obrotna gospodyni w domu się przyda.

Tak zapadła decyzja o ożenku Jana.

Rozdział trzeci - Jan i Marianna

Nie będę szczegółowo opisywać co Marianna przywiozła z rodzinnego domu do domu Jana, bo naprawdę nie wiem. Pamiętam tylko malowaną drewnianą skrzynię, w której kryło się mnóstwo skarbów, a m. in. zrobiona ręcznie z kolorowych skrawków materiałów narzuta na łóżko. Narzuta pozszywana była z dużej ilości kwadratów, a każdy kwadrat zszyty był z kolorowych skrawków materiału tak, że z jednej strony były kolory ciemne, z drugiej jasne. Kwadraciki były przyszyte jeden do drugiego, a całość podszyta dużym kawałkiem lnianego płótna. Wyglądało to przepięknie. Były jeszcze kolorowe chusteczki, na które moja mama mówiła szalinowki, podobno miały frędzle ale dorastające córki Marianny je poobcinały.

Dziadkowe brali ślub we Frampolu albo w Radzięcinie - dokładnie nie wiem, nie wiem też w którym roku. Ich najstarszy syn Jan urodził się w roku 1912. Najmłodsza córka Marianna w 1929, pośrodku było jeszcze pięcioro dzieci: Leokadia (1920), Karolina, Stanisława i Antoni. Babcia Marianna urodziła się 5 stycznia 1889 roku, a dziadek Jan w 1890, byli zatem prawie że

równolatkami.

Po ślubie młodzi zamieszkali w domu Jana przy jego rodzicach - Katarzynie i Kazimierzu. Zajmowali dwie niewielkie izby, gdzie przychodziły na świat kolejne dzieci. Kiedy urodziła się najmłodsza córka - dano jej imię po matce Marianna. To do niej mawiał dziadek, "że jest jego dożywociem", dla niej też przywoził z jarmarku gościńca. Zazwyczaj był to posypany obficie makiem obwarzanek, smak którego moja mama, bo to o niej mowa pamięta do dziś.

Skoro mowa o jarmarku, to trzeba odnotować z całą dokładnością iż poza pracą na roli Jan zajmował się drobnym handlem - sprzedawał głównie zboże, zimą przed Świętami Bożego Narodzenia woził na jarmark w Turobinie albo w Szczebrzeszynie choinki, prowadził jakieś interesy z miejscowymi Żydami - tymi z Czarnegostoku i z pobliskiego Gorajca. Często bywali u nas w domu, jak opowiada mama. Raz zdarzyło mu się zostać... złodziejem. Ukraść z gromadzkiego lasu sosnę o wartości 36 złotych. Kiedy zapytałam mamę dlaczego to zrobił, odpowiedział, biorąc go w obronę (przecież to był jej kochany tata):

- Miał dużą rodzinę, w domu nie zawsze były pieniądze, więc zaryzykował. Pozwany do sądu w Szczebrzeszynie zwrócił wartość ściętego drzewa, a mnie na pamiątkę pozostał wśród rodzinnych pamiątek dokument o treści:

*Do
Wysokiego Sądu Pokoju w Szczebrzeszynie*

*Proszenie
o zasądzenie 36 zł*

Dnia 14 lutego 1923 roku część włościan wsi Czarnystok posiadających 203 morgi lasu pobranego na serwitut wybrali nas jako pełnomocników (Wojciech Kolcon, Kazimierz Malec i Jan Furlepa) do występowania przed właściwymi Sądami w obronie samowolnego zabierania lub kradzieży drzewa.

No w miesiącu listopadzie r. b. pozwany Smoter zajechał do tegoż lasu i ściął jodłę grubości 18 cali które to drzewo wartuje 36 zł.

Na dowód naszej prośbie powołujemy się na świadka mieszkańca wsi Wólki - Czarnostocki gm. Radecznicza Grzegorz Banach. Po wysłuchaniu świadka Upraszamy Wysokiego Sądu Pokoju zasądzić u pozwanego na rzecz tej części gromady wsi Czarnystok która jest w posiadaniu tego lasu 36 zł za drzewo.

A także Upraszamy zasądzić u pozwanego kosztów sądowych .

Wojciech Kolcon i Jan Furlepa i K. Malec nie piśmienny - po ich prośbie podpisał M Fink(?).

25 Listopada 1924.³

Taki był mój dziadek - przykro mi, że się nie znaliśmy, zapewne wiele ciekawych rzeczy by mi opowiedział...

Kiedy dzieci Jana i Marianny już podrosły, trzeba było pomyśleć o ich przyszłości, ale wszystkie plany pokrzyżowała wojna.

W 1937 roku Feliks został powołany do wojska, (jego jednostka stacjonowała w Kowlu), po kampanii wrześniowej dostał się do niewoli niemieckiej, gdzie do maja 1945 roku zatrudniony był jako robotnik rolny. Wcześniej znalazł się w wojsku Antoni, stacjonował w Równem. Dziewczyny poza najmłodszą Marianną (w 1938 i na początku 1939 roku jeszcze się uczyła) pokończyły po kilka klas szkoły powszechnej, tyle ile można było wówczas ukończyć.

Wojna!!!

3 Zapis zgodny z oryginałem omawianego dokumentu

Jak opisać wojnę znaną tylko z opowieści? Feliks wrócił po pięciu latach niewoli, Antoni także powrócił z ciężką raną na nodze - nie chciał się w ogóle goić. Zmarł w 1949 roku. Dziadek zabrany przez Niemców wraz z grupą mężczyzn z Czarnegostoku w lipcu 1943 roku znalazł się w obozie przejściowym w Zwierzyńcu, potem na Majdanku. Gdy przebywał w obozie przejściowym w Zwierzyńcu babcia na zmianę z ciotką Stanisławą chodził na piechotę co tydzień nosząc mu świeżą bieliznę, chleb. Jednego razu Niemiec zamknął babcię w piwnicy. Przesiedziała tam cały dzień, modląc się na nieodłącznym różańcu. Wraz z nią było jeszcze kilka innych kobiet. Pod wieczór zostały wypuszczone. Co ona wtedy przeżyła trudno opowiedzieć. Synowie byli na wojnie, mąż w obozie, w domu zostały tylko trzy dziewczyny...

Ciotka Stanisława, odważna niezależna, wstąpiła do oddziału partyzanckiego. Nie brała wprawdzie bezpośredniego udziału w walce z Niemcami, ale posmakowała trochę obozowego partyzanckiego życia. Skończyła kurs udzielania pierwszej pomocy. Tam poznała swoją pierwszą miłość, ale rodzice bogatego chłopaka nawet nie chcieli słyszeć o biednej jak mysz kościelna dziewczynie. Wyszła po wyzwoleniu za Jana Malca, który przeżył wojenne piekło. Leokadia i Karolina także poukładały sobie życie. Pierwsza wyszła za mąż za Stanisława Furlepę, wyjechali po wyzwoleniu na Ziemię Odzyskaną, ale widocznie nie znaleźli tam szczęścia skoro po pewnym czasie powrócili kupując niewielki gospodarstwo w okolicach Zamościa. Uprawili chmiel - jednego roku w wakacje miałam możliwość pojechać na zarobek. Otrzymane pieniądze bardzo się przydały na zakup podręczników. Pamiętam że ciotka Leokadia gotowała kawę zbożową z mlekiem i do tego pyszna bułka. Palce lizać!!! Już jej nie ma, zmarła zaczynając 93 rok życia. Zmarł Stanisław jej mąż. Spoczywają oboje na cmentarzu w Sitańcu k. Zamościa.

Karolina wyszła za rolnika, pracowali w swoim gospodarstwie, doczekali się córki. Oboje odeszli. Odszedł Feliks, nie ma Stanisławy - czyli jak mówi moja mama odszedł cały środek - została tylko ona i wujek Jan.

Co jeszcze mogę napisać o dziadku Janie i babci Mariannie? Czy Jan był pobożny - nie wiem. Babcia tak, jak znałyłam na wstępie jej zawdzięczam moje pierwsze zetknięcie z Bogiem. Pamiętam z dzieciństwa jak wraz z synami wujka Jana (Mietkiem i Bogdanem) uczyła nas modlitwy za... cukierki. Tak. Gdy kończyliśmy odmawiać Modlitwę Pańską z obrazu spadały dla nas cukierki. Wglądało to tak, jakby sama Matka Boża Częstochowska nas częstowała. Dlaczego? babcia stała z tyłu za nami i pod koniec modlitwy rzucała cukierki do góry...Po latach, kiedy wydawałam pierwszy zbiorek moich wierszy zatytułowany *Słów moich obecność* (Lublin 1998 r.) napisałam na pamięć babci taki wiersz:

epitafium dla babci

*babka moja z twarzą dostojną
jak święci z jej obrazów
powraca w snach niespodziewanie
chcę ją przytulić
nie rozumie gestu przywiązania
chcę powiedzieć słowo choć jedno
odpływa w nicość
szepetem moich ust ścigana*

*to ona mnie uczyła
modlitwy żarliwej "za cukierki"
który zawsze spadał
z dłoni hojnej Matki Bożej
zatrzymanej w ramach obrazu*

*"jutro tych ziół co zawsze nazrywaj"
słyszę wyblakły głos
więc biegnę z naręczem macierzanek
złocistym dziurawcem pod pachą
wdychając gorzki zapach lata
w ziołodajne południe*

*chyba kochałyśmy się nawet
przezarta rdzą lat staruszka
i mała dziewczynka
każdej wiosny silniejsza*

*powróć babciu na dłużej
niech noc będzie dla mnie wiecznością
raz jeszcze wychudlę dłoń pozwól ucałować
zapomniane dziękuję
wyszeptać w bladolicy poranek*

Była urodzoną gospodynią. W domu był zawsze czysto. Na wigilię robiła pyszne gołąbki z jaglanej kaszy, zwane u nas hołubcami - wszyscy się zajadali z wyjątkiem mnie, ale by nie robić jej przykrości zjadałam 1 - 2. Kwaśiła kapustę w dużej, drewnianej beczce, ogórki także w drewnianej beczce, cała rodzina później się nimi zjadała. A chleb? Pod koniec lata miałam za zadanie zbierać hanys, czyli dziko rosnący na miedzy kminek. Ususzony w lnianym woreczku służył do posypywania chleba, wcześniej smarowało się gotowe do pieczenia ciasto białkiem z jajka, a potem kminek!!

To od babci po raz pierwszy dowiedziałam się o Majdanku, o cyklonie, o tym, jak co Niemcy mordowali Żydów i Polaków. Po sąsiedzku mieszkali Pacykowie. Babcia Pacykowa często przychodziła do mojej, zwłaszcza jesienią gdy na polu już nie było pilnych robot, albo młodzi pracowali, więc babcie mogły sobie odpoczywać. Rozmawiały o wojnie. W domu był folder o Majdanku, w nim zdjęcia beczek z cyklonem, wycieńczonych ludzi. Pożyczony dalszym sąsiadom już nie wrócił...

Od wujka Feliksa po raz pierwszy usłyszałam o Katyniu. To była nasza wielka tajemnica, nie wolno było o tym z nikim rozmawiać, a już broń Boże w szkole. Mieliśmy radio, którego wujek wieczorami słuchał. Pamiętam jak zasłaniał okna, ściszał tak, że ledwie był słyhać a słuchaliśmy wtedy czytanego w radiu Wolna Europa *Archipelagu Guag*, *Sołżenicyna*...

Dziadek powrócił bardzo wycieńczony. Wiadomo obozowe warunki, ciężka praca, a na dodatek potrafił ostatnią kromkę chleba oddać za papierosa. Zmarł wkrótce. Spoczywa z całą rodziną na cmentarzu w Trzęsinach. Miał ukochanego kasztanka, o którym pisałam wcześniej. W czasie wojny zabrali go partyzanci i słuch o nim zaginął.

Feliks po powrocie z niewoli powoli przyzwyczajał się do normalnych warunków bytowania, jakże odmiennych od tego co przeżył. Brat Feliksa - Antek leżał ciężko chory, ojciec też niedomagał po obozowych przeżyciach, drugi brat Jan miał swoją rodzinę, siostry poza najmłodszą Marianną powychodziły za mąż, więc na jego barki spadł teraz ciężar prowadzenia gospodarstwa.

Pewnego dnia wybrał się na jarmark do Biłgoraja. Pojechał furmanką z sąsiadem. Gdy dotarli na miejsce, kupił to, czego potrzebował do domu, załadował na furmankę życzliwego sąsiada i tknięty jakimś, nieznanym mu przeczuciem postanowił porozglądać się po targu...Kiedy tak sobie spacerował patrząc jak ludzie sprzedają, kupują, targują się o każdy grosz zobaczył pomiędzy furmankami ... kasztanka. Nie dowierzał własnym oczom. Jakiś nieznanemu mu gospodarz chciał go sprzedać na ubój. Koń był w opłakanym stanie: wytarty grzbiet, poobcierane boki, lekko podkulona lewa noga, widocznie na nią utykał. Feliks przyspieszył kroku. Usłyszał rozmowę:

- Weźcie, zwracał się właściciel kasztanka do drugiego mężczyzny. Pożytku z niego niewiele,

swoje przeżył, ale trochę niezniszczonej skóry wyprawić można, z mięsa można coś zrobić, konina zdrowa.

W Feliksa jakby piorun strzelił! Nie wiedząc kiedy znalazł się pomiędzy handlującymi, wyrwał lejce z rąk nieznanego mu człowieka.

- Ja tego konia kupię, ja krzyknął nieswoim głosem. Jedną ręką trzymał lejce, drugą zaczął coś szukać w kieszeni spodni, po chwili wyciągnął kawałek cukru ubrudzony machorką i podał kasztankowi na otwartej dłoni. Koń zarżał radośnie, rozchylił chrapy i po chwili słychać było smakowite chrupanie, a potem plunięcie, widocznie rozgryzł okruszek machorki. Felek powoli dochodził do siebie.

- Wybaczcie, zwrócił się do gospodarza. To koń mojego ojca, partyzanci go zabrali. Myśleliśmy że nie żyje, że przepadł, a on jest. Trochę podupadł na zdrowiu, ale żyje.

- Sprzedajcie go, proszę. Ojciec jest bardzo słaby, wrócił z obozu, bardzo by się ucieszył, gdyby go zobaczył.

Patrzyli na siebie. Kasztanek schrupał cukier i zaczął trącać łbem Feliksa domagając się jeszcze. ten odruch pomógł właścicielowi podjąć decyzję.

- No dobrze, zwrócił się do Feliksa. Bierz, ale mi coś zapłać, przyprowadziłem go z myślą by coś na nim zarobić.

- Oczywiście, Felek na to.

Oddał gospodarzowi lejce. Ten drugi, widząc że z kupna nici uchylił kaszkietu na pożegnanie i odszedł. Tymczasem Feliks rozpiął marynarkę, (a właściwie to żołnierski mundur, tyle że bez pagonów i ze zwykłymi guzikami bez orzelków by nie plamić żołnierskiego honoru) w której w wewnętrznej kieszeni trzymał owinięty w lnianą ściereczkę plik banknotów. Odliczył potrzebną kwotę, resztę dokładnie zawinął i schował z powrotem). Ucisnęli sobie z nieznanym dłonie.

- Dziękuję wam bardzo. Dziękuję.

Kasztanek był wolny. Felek poklepał go przyjaźnie po szyi.

- Chodź stary druhu, pójdziemy do Jana.

Na dźwięk słowa Jan koń zarżał radośnie.

- Rzeczywiście, to wasz koń, odezwał się na to nieznanomy. Jeszcze nie widziałem konia by tak się zachowywał na na dźwięk imienia swego gospodarza.

Co to była za radość w domu, kiedy pod wieczór zjawili się obydwaj na podwórku. Babcia Marianna nic nie mówiąc mężowi pootwierała drzwi, tak by koń mógł spokojnie wejść, a Feliks czując się po trosze jak bohater wprowadził go powoli do izby. Jan uniósł się na łóżku.

- Kasztanek, zwołał wyciągając w stronę konia rękę. Ten obwąchał ją ostrożnie, jakby chwilę się zastanawiał, a potem radośnie zarżał. Wszystko było jasne. Dwaj przyjaciele odnaleźli się po latach. Kiedy emocje opadły, a kasztanek znalazł się w stajni, dostał wiadro wody do picia i siano na kolację, Feliks spokojnie opowiedział ojcu i pozostałym domownikom jak odnalazł konia. Co tu dużo mówić, babcia rąbkiem zapaski otarła łzę, co to nagle zakręciła się w jej oku. Antek uśmiechał się sam do siebie, Marianna zamyśliła się na chwile, a Jan, Jan zamknął oczy i ledwie widoczny uśmiech pojawił się na jego twarzy. Widocznie wracał wspomnieniami do tych lat i dni, kiedy z kasztankiem wędrowali za.. chlebem jeżdżąc tu to tam. Wspominał zimowe i jesienne wieczory, gdy zdarzyło mu się zasnąć ze zmęczenia na wozie, a wierny koń i tak doszedł do domu.

Cała rodzina rozpieszczala kasztanka podrzucając mu smaczne kąski, a to garść kukurydzy, marchewkę czy rzepę, kawałek zeschniętego chleba do pochrupania, a Felek podkładał mamie Mariannie kawałki cukru, a niech tam... Wszyscy orzekli zgodnie że swoje odpracował, wycierpiał, więc pora mu odejść na zasłużony odpoczynek. Chodził sobie na luzaka, pasł się na łące, nigdy już wozu ani pługa nie ciągnął... Gorzej było z Janem. Mizerniał w oczach, aż nadszedł ten ostatni, smutny dzień w jego życiu.

Na pożegnanie przyszło dużo ludzi ze wsi. Dziadek był powszechnie szanowany. Nigdy, nikomu

nie odmówił pomocy, pożyczył pieniądze gdy miał, bo z tymi pieniędzmi przed wojną i po wojnie różnie bywało. Nie przyszli tylko na pożegnanie znajomi, a może przyjaciele Żydzi, z którymi prowadził różne interesy handlowe. Nie przyszli. W 1947 roku już ich nie było ani w Czarnymstoku, ani w Gorajcu, nie było Żydów w Trzęsinach, na Smoryniu..., tylko w pamięci mamy zachowało się to, z jakim szacunkiem zwracali się do dziadka mówiąc: "Janie".

Kiedy trumna z ciałem Jana spoczęła na wozie, którym miał odjechać w swoją ostatnią ziemską podróż na cmentarz w Trzęsinach, Feliks wyprowadził ze stajni kasztanka. Koń pochylił łeb nad trumną, rozszerzył chrapy, parsknął nerwowo, a potem uniósł do góry łeb i boleśnie zarżał. Takie było ich pożegnanie.

I w tym miejscu można by zakończyć opowiadanie o dziadku Jaśku, gdyby nie jeden szczegół. Duch Jana pojawił się jeszcze raz na świecie - przyszedł po swego syna Antka, gdy ten umierał mając niespełna 33 lat. Przy Antku zawsze ktoś był z rodziny, by podać mu wodę, poprawić opatrunek. Tym razem czuwała przy nim babcia.

- Mamo, mamó zwołał w pewnej chwili: tato po mnie przyszli.
- Gdzie ty widzisz ojca, zapytała złęczniona babcia.
- O, tutaj stoją, pokazał ręką, przy łóżku...

Przychodzenie jednych członków naszej rodziny po drugich to już tradycja, tak opowiadają wszyscy. Po moją babcię przyszła jej mama, czyli moja prababcia Mikszowa. Ciekawa jestem kto przyjdzie po mnie. Może moja babcia, która tak bardzo kocham?

Babcia Marianna przeżyła swego męża o 31 lat, zmarła 6 października 1978 roku. Dziadek żył lat 57, zmarł w 1947 roku. Pradziadkowie odeszli kolejno: Kazimierz w wieku 65 lat - 27 marca 1933 roku, Katarzyna żyła lat 70, zmarła w 1936 roku.